

# KOBIETA

ENRICO CAMANNI

# Z LAWINY

Gdy  
**twoja przeszłość  
ginie bezpowrotnie  
pod śniegiem**



# KOBIETA

ENRICO CAMANNI

# Z LAWINY

Przełożył z włoskiego  
Tomasz Kwiecień



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*Una coperta di neve*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Justyna Żebrowska

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Hanna Trubicka

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © allvision, © Pavel Kašák / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2020 Mondadori Libri S.p.A., Milano

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Kwiecień, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2022

ISBN 978-83-67069-42-7

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | [www.WydawnictwoKobiectwo.pl](http://www.WydawnictwoKobiectwo.pl)



NIEGRZECZNE  
KSIĄŻKI





**Czwartek 21 czerwca po południu, Courmayeur**

**KIEDY ŻEGNALI SIĘ TUŻ PO POŁUDNIU**, niebo było czyste.

- Do zobaczenia jutro.
- *Ciao*, przewodniku.
- *Ciao*, uważajcie na siebie.

Młodzież poszła zwiedzać dolinę, a Settembrini wrócił do samochodu. Niebo było czyste, strumień napęczniał po odwilży. Woda wychodziła z brzegów. Wpatrując się w pola śniegu przyklejonego do stoków Mont Dolent, pomyślał, że naprawdę nadeszło lato, i przypomniał sobie, że w barze czeka na niego Camilla.

Opuścił dolinę w Entrèves, wjechał na drogę ekspresową, wyprzedził trzy ciężarówki i spojrzał na swoje odbicie we wstecznym lusterku. Był łysy od co najmniej dziesięciu lat i zdążył się już do tego przyzwyczać. Jego jasne oczy łagodziły zapadnięte policzki, a usta naśladowały grymas, jaki miał jego ojciec. Na wciąż nieopalonym czole żłobiły

się jeszcze zmarszczki zimowych myśli, ale już wkrótce nabierze ono koloru. „Błady przewodnik to jakiś oksymoron”, pomyślał. W połowie drogi między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką czuł się człowiekiem wciąż silnym – czasami – i niemal zawsze kruchym. Był bardzo doświadczonym alpinistą i coraz bardziej się bał, że coś spieprzy. Stał się ostrożny. Nie chciał umrzeć w górach.

– *Ciao, Nanni*, dziesięć minut i już by mnie nie było.

Camilla czekała na niego przed kawiarnią pod parasolem. Nie wstała na powitanie, tylko podsunęła mu krzesło i uśmiechnęła się do niego. Miała na sobie błękitną koszulkę i parę obcisłych czerwonych szortów – „Wciąż na nią pasują?”, pomyślał ze zdumieniem – i była tak biała, jak biała może być góralka wyjeżdżająca nad morze. Jeszcze bardziej nieusuwalna biel zakradła się pomiędzy jej piękne czarne włosy. Zdjęła sandały, by poczuć pod stopami ciepło kamienia.

– Aż tak się spóźniłem?

– Nie bardziej niż zwykle, ale dziś się spieszę.

– A więc wszystko gotowe? Koniec roboty, jesteś na urlopie.

– Tak, kochanie, wolna jak powietrze!

Na niebie ponad parasolem unosiły się latawce wodnej pary.

– A twoje przyjaciółki?

– Odbiorę je sama, nie martw się.

– Już zamówiłaś?

– Nie, ale wezmę tylko kanapkę. Tuńczyk z karczochami.

Settembrini powiedział, że dla niego kanapka też będzie okej, bo ma wizytę u dentysty, a Camilla z łatwością obróciła to w żart:

– A więc pozbędziesz się za jednym zamachem i zęba, i mnie.

– Wiesz, że to nieprawda. Muszę pracować, nie widzisz, jakie jest niebo?

– Tak, musisz pracować, nienawidzisz morza i nie cierpisz moich przyjaciółek.

– Nienawidzę parasoli, nie morza.

– To co robisz pod tym? – Podniosła palec wskazujący w stronę płótna.

Nanni wiedział, że już niedługo zatęskni za ironią Camilli. Pomyślał, że jest piękna w świetle tego najdłuższego dnia, jaki Bóg daje ziemi, i że nie będzie drugiego takiego przez kolejny rok. Jak zwykle jej tego nie powiedział.

Pojawiły się kanapki, dwie coca-cole i nadszedł czas pożegnania. Pocałowali się, a on pogłaskał ją po włosach, żeby wynagrodzić to, czego nie umiał powiedzieć.

Po drodze spojrzął na zegarek: druga po południu. Dziesięć minut później naciskał przycisk domofonu brzydkiego podmiejskiego apartamentowca, w którym swój gabinet miał dentysta. Tuż za granicą starego centrum żarłoczna deweloperka zagarniała bezlitośnie coraz więcej terenu. Ludzie nie pamiętali już łąk.

Wspiął się po schodach, zadzwonił do drzwi, wszedł do środka, wziął gazetę i usiadł w poczekalni naprzeciwko parady idealnych zębów, najpewniej sztucznych, które szczerzyły się w uśmiechach na filmie promocyjnym.

Próchnica dawała mu w kość od miesiąca, zwłaszcza gdy pił coś zimnego lub gryzł czekoladę. A któregoś z licznych deszczowych dni poczuł na czubku języka kawałek plomby i to sprawiło, że w końcu postanowił się pojawić u stomatologa.

– Usiądź, Nanni, to potrwa niecałą godzinę – powiedziała asystentka, pokazując mu fotel.

– Godzinka jest w porządku, dziś już jestem po pracy. Teraz mam wolne.

Pojawił się lekarz. Znali się.

– Tylko żeby nie bolało – poprosił Settembrini.

– Po zastrzyku nic nie poczujesz.

– Nie znoszę igieł.

– Gotowe: ząb znieczulony. Byłeś dziś w górach?

– Tak, z grupą sympatycznych dzieciaków. Coś pięknego.

– Góry czy dzieciaki?

– Jedno i drugie.

Działo martwiało, a słowa stawały się niewyraźne, ale dentysta nie przestawał zadawać pytań. Był zapalonym alpinistą. „Nawet tutaj jestem w pracy – Settembrini przewodnik. Teraz udam, że mam sparaliżowany język, to będzie ga- dał sam do siebie”.

Oparcie fotela się obniżyło. Rozpoczął się zabieg. Leżąc, zdany na łaskę dwojga zamaskowanych ludzi, odczuwał perwersyjną fascynację biernym poddaniem. Reflektor na czole dentysty pobudzał wyobraźnię, a oczy śledziły źrenice oprawców, pracowicie ożywione za przezroczystymi maskami. Przyglądając się szczupłym nadgarstkom asystentki, pacjent Settembrini wyruszał w podróż do klaustrofobicznej ciszy sali zabiegowej pełnej aseptycznych zapachów i sztucznych światła, gdzie wiertła szalały, a odziane w lateks dłonie kładły się na chorych ustach.

Zatopił się w tej bezwonnej i bezbolesnej wędrówce z muzyką Ludovica Einaudiego w tle, sprawdzając na

samym sobie, że bezbolesny, wolny od zgrzytania zębami czyściec dentysty jest dokładnym przeciwieństwem jego świata, uniwersum grzbietów i lodowców, bólu pleców, choroby wysokościowej i marzenia o piwie. Leżenie na fotelu było doświadczeniem tego, czego sam nigdy nie doświadczył – kłamliwej, wymyślonej egzystencji. „Istniały inne formy życia”, pomyślał Settembrini.

– Zrobione – powiedział lekarz o trzeciej po południu. – Do wieczora nie jedz nic ciężkiego, a jeśli cię będzie bolało, weź panadol.

Oparcie fotela podniosło się automatycznie i sen się skończył.

Oplukał dwa razy jamę ustną, otarł wargi, wstał, podziękował, pożegnał się, zszedł po schodach i wyszedł w samej koszulce na czerwcowe słońce. Na dworze robiło się coraz goręcej.

Minął matkę – a może babcię? – odprowadzającą dzieciaki na kort tenisowy i dwóch starsuszków popijających musujące wino. Światło podkreślało szczegóły w wyglądzie osób i rzeczy. Wydawało mu się, że ludzie mówią półgłosem, aby nie prowokować opatrności. To było idealne popołudnie, pierwsze takie od wielu tygodni. Czyste powietrze, spokojne ulice, głosy i uśmiechy dzieci.

Przy granicy miasteczka przypomniał sobie, że Camilla wyjechała, a zamrażarka w domu jest pusta. Musiał zadbać o coś na wieczór. Zastanawiając się, czym zapełnić czas i lodówkę, ruszył powoli w stronę samochodu. Nauczył się wolnego tempa kilka lat temu. Miał mocne nogi i dobre płuca, nie brakowało mu treningu, więc umiał przyspieszyć, ale chód przewodnika górskiego to kroki kogoś, kto chodzi, by



zarobić na chleb. To tempo pracy. „Trzeba się nauczyć rozróżniać – postanowił Settembrini – inaczej człowiek nigdy nie przestaje pracować”. Od czasu do czasu wypadło naśladować tempo turystów.

Minął supermarket, ale się przy nim nie zatrzymał. Nienawidził sklepów wielkopowierzchniowych. W rzadkich wypadkach, kiedy kupował jedzenie, wolał wydać pieniądze u drobnych sklepikarzy i przy okazji uciąć sobie z nimi pogawędkę. Pewnego dnia jego starsza córka złośliwie stwierdziła, że tylko prymitywy ignorują zalety Amazona, a wtedy on zrobił minę jaskiniowca.

– Wyglądasz całkiem jak troglodyta – zauważyła Tiziana.

– Twoja matka też tak mówiła – skłamał Settembrini.

Zignorował więc supermarket, w którym płacisz za dwa, a dostajesz trzy, i skupił się na tym, kogo zaprosić na kolację. „Najlepiej przyjaciela”, pomyślał, ale Camilla nie była zazdrosna.

– W dolinie otwarto nową trattorię pod glicyniami – powiedział mu Bareux, jego zastępca, kiedy wjeżdżali kolejką linową na Pavillon du Mont Fréty. – Jesz na zewnątrz i podają nawet ryby morskie. Za jedyne dwadzieścia pięć euro sprawią, że będziesz szczęśliwy.

– Wino czerwone czy białe?

– A to ma jakieś znaczenie?

Gdy był kilka kroków od samochodu, zadzwonił jego telefon komórkowy.

– Nanni, jest pilne wezwanie: lawina.

O wilku mowa. Głos Ivana Bareux był dziwnie wzburzony i Settembrini się zaniepokoił.

– Lawina dwudziestego pierwszego czerwca?



*Sięgnij po  
więcej!*



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)



[kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



[wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)